

ALFRED

HAYES

*Dziewczyna*

*na Via Flaminia*

Tłumaczyła  
Anna Arno

Wydawnictwo Próby

W Europie wiało. Wiatr był zimny, miasto nieoświetlone. Musi upaść, no musi, mówiono. Nikt nie wiedział na pewno, czy aktualny rząd upadnie ani czy uformuje się nowa koalicja. W ogóle nie było niczego pewnego poza tym, że o ile rząd upadnie, to ten, który powstanie na jego zgliszczach, też będzie koalicyjny. I jeszcze wiadomo było na pewno, że wiatr jest piekielnie zimny. Na koniec wojny nie wyglądało, chociaż rzeczywiście dobiegała końca. Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, że za kilka miesięcy się skończy. Niektóre dzieci w mieście nie znały życia bez wojny. Na północy trwały walki. Po południu widywało się na głównych placach miasta dziewczyny i młodych mężczyzn w sfatygowanych mundurach z czerwonymi opaskami na rękawach. To byli partyzanci. Mężczyźni byli zwykle przystojniejsi niż dziewczyny były ładne. Wszyscy patrzyli na nich z szacunkiem. Byli częścią prawdziwych i ważnych walk. W samym mieście roło się od różnego rodzaju żołnierzy. Można ich było rozróżnić po tym, jak się naporzali i jak się upijali.

Anglicy lubili się bić wielkimi metalowymi klamrami pasów wojskowych, Amerykanie tłukli się na butelki, a niektóre inne oddziały wolały noże. Chlali wszyscy. Pośród pijanych żołnierzy najbardziej rzucaли się w oczy Amerykanie. Kanadyjczycy odkryli, że z wermutu i olejku bananowego można zrobić coś w rodzaju drinka, ale właściwie żadne inne oddziały nie podzielały tej opinii. Kanadyjczycy nie znosili Anglików i zazdrościli Amerykanom. Anglicy zazdrościli Amerykanom i pogardzali Kanadyjczykami. Francuzi nosili amerykańskie mundury i jeździli amerykańskimi wozami, pogardzali Anglikami, wzruszali ramionami na Kanadyjczyków i z niedowierzaniem kręcili głową na Amerykanów. Najbardziej samotne były oddziały Polaków i palestyńscy brygadierzy.

Ziąb był naprawdę okropny. Grudzień, prawie święta, a wojna trwała od ponad pięciu lat. Czasami mężczyźni uciekali z obozów przy austriackiej granicy. Wracali do żon tak odmienieni, że kobiety krzyczały z przerażenia. Zdarzało się też, że mężowie wracali i zastawali w domu żonę z innym albo z żołnierzami. Wynikłe z tego wrzaski w tej czy innej dzielnicy też były okropne.

Tej grudniowej nocy na Via Flaminia było ciemno choć oko wykol, wiatr hulał, a noc była mroźna. Taki ziąb w innym kraju zwiastowałby śnieg. W tym kraju śnieg nie padał, chyba że w górach. Zastępowały go deszcz, mgła i wilgotny chłód.

W tej części miasta przed wojną ludzie nie byli ani przesadnie bogaci, ani szczególnie biedni. Oczywiście teraz, po ponad pięciu latach wojny, wszyscy byli mniej lub bardziej biedni. Nie to, że brakowało im pieniędzy. W tej części miasta sporo było kamienic z wielkimi

oknami i ogrodami na dachach. Linia tramwajowa biegła do końca Via Flaminia i na drugą stronę rzeki przez Ponte Milvio, bardzo stary i uczęszczany most. Stamtąd droga prowadziła na północ. W ciągu dnia na ulicach ciągle zdarzały się jakieś wypadki. Z kosztorną regularnością ginęli albo byli potrąceni piesi przechodzący przez most albo przez Via Flaminia. Zwykle zabijały ich albo potrącały wielkie, szybkie, sześć- albo ośmiokołowe pojazdy wojskowe. Kiedy się zdarzał taki wypadek, ludzie zawsze przeklinali los, który sprowadził do miasta wojskowe pojazdy, a zmarły czy też konający leżał w rynsztoku przykryty kocem albo płaszczem, aż przyjeżdżały karetka i *carabiniere*<sup>1</sup>, żeby go zabrać do szpitala. Ponieważ w szpitalach brakowało leków, można było uznać, że człowiek miał szczęście, jeśli umarł na miejscu. W takim przypadku w rynsztoku zostawała po nim kałuża krwi.

W jednej z kamienic w tej części miasta, gdzie Via Flaminia dochodziła do Mostu Mulwijskiego, znajdowało się mieszkanie rodziny znanej jako państwo Pulcini. Mieszkanie miało sześć pokoi, a w sporej jadalni pani Adela Pulcini urządziła rodzaj szynku, do którego wieczorami żołnierze przychodzili na wino i jajka. Pośrodku stał duży mahoniowy stół, radio, z którego żołnierze lubili słuchać muzyki do kielicha, a na ścianie wisiała oczywiście litografia z najświętszym sercem. Przeszklone drzwi jadalni otwierały się

<sup>1</sup> Karabinier (wł.). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki. Tekst powieści przetłumaczony jest włoskimi słowami i wyrażeniami, które w oryginale nie są tłumaczone na angielski. Dla wygody polskiego czytelnika włoskie zwroty wyróżniam kursywą, a tłumaczenia zamieszczam w przypisach [A. A.]

na zapuszczony ogródek i wyjście od tyłu. Żołnierze nazywali signorę Adelę Pulcini „Mamma”. Pewnej nocy, pod koniec grudnia, kiedy wojna niepostrzeżenie dobiegała długo wyczekiwanego końca, dwaj z nich siedzieli przy wielkim mahoniowym stole Pulcinich i popijali wino. Jeden był niskim, kościstym angielskim sierżantem w średnim wieku, a drugi Amerykaninem. Amerykanin był młody i nie był sierżantem, był za to mocno wstawiony i lekko utykał.

Dochodziła ósma, może wpół do ósmej wieczór.

Angielski sierżant w średnim wieku od dłuższej chwili słuchał utyskiwania młodego Amerykanina, który nie był sierżantem. Anglik nie uważał, żeby ktokolwiek w amerykańskim wojsku miał jakiegokolwiek powody do narzekania. Anglik kochał swoją ojczyznę, ale nie ojczyste racje żywnościowe. Kiedy do cna zbrzydła mu kromka chleba i plaster mielonki, podawane w stołówce sierżantów, gdzie jako angielski sierżant mógł korzystać z luksusu zasiadania przy długim, grubo ciosanym drewnianym stole z siedmioma innymi sierżantami, to, jak wyznawał, nie raz myślał, że ucieknie na wzgórze i przyłączy się do tych cholernych partyzantów. Teraz, w jadalni Pulcinich, z kieliszkiem wina w ręce, powiedział do młodego Amerykanina: – A na co wy, chłopaki, mielibyście, do cholery, narzekać. Posłużylibyście cały boży miesiąc w oddziałach Jego Królewskiej Mości, pozuilibyście naszą konserwę, popilibyście filiżanką cuchnącej herbaty, cieszylibyście się, jak do chleba dadzą kleks marmolady – wtedy dopiero mielibyście o czym pisać do domu.

– Wołowinę trzymają dla dowództwa – powiedział Amerykanin.

– No właśnie – odpowiedział Anglik. – Zakały tej ziemi, tak nas nazwała jaśnie pani. Wstała w Izbie Gmin i powiedziała: zakały tej ziemi. I miała cholerną rację.

Amerikanin, lekko kuśtykając, podszedł do drzwi. Otwierały się na korytarz, z którego wchodziło się do pozostałych pokoi.

– Hej, Mamma! – zawołał Amerikanin. – Mamma Pulcini! Butelkę *vino*! *Subito!*<sup>2</sup>

– *Sì, sì*<sup>3</sup> – odpowiedział kobiecy głos z kuchni. – *Un momento*<sup>4</sup>.

– Wszystko w tym kraju jest za *un momento* – powiedział Amerikanin.

Pokuśtykał z powrotem do stołu. Nosił zegarek, pierścień zrobiony z arabskiej monety i nieśmiertelnik. Wyglądał trochę jak choinka.

– Jak się znalazłem we Włoszech? – zwrócił się do angielskiego sierżanta. – Chciałem do Francji. W poprzedniej wojnie mój stary walczył we Francji. Był pan kiedyś z Francuzką, sierżancie?

– Nie – odpowiedział Anglik.

– Spotkałem jednego marynarza, który stacjonował w Marsylii – powiedział Amerikanin. – Miał dziewczynę, nazywała się Marie. Mówił, że w Marsylii sypiał u niej w domu i rano jej matka przynosiła mu śniadanie do łóżka. Nie byli nawet małżeństwem, a ona miała osiemnaście lat. Fajnie, co nie?

– Osiemnaście – rozmarzył się angielski sierżant. – Moja pani ma dwa razy tyle.

<sup>2</sup> Bez ociągania

<sup>3</sup> Tak

<sup>4</sup> Tak, tak... chwileczkę

– Francja to byłoby coś dla mnie – powiedział Amerykanin.

– Rzym też ujdzie – odparł sierżant.

– Rzym to jest miasto – powiedział Amerykanin. – Miasta to co innego. Ale cała reszta? Nic tylko góry!

– Ładny kraj, z wyjątkiem much.

– Niech pan posłucha, sierżancie – powiedział Amerykanin. – Wie pan, co oni mogą zrobić z Europą? Calusieńką? Poskładać na trzy i zgnieść. Słuchaj pan. Szedłem do Rzymu z Anzio. Aż w Velletri spadłem z klifu. Po ciemku! Spadłem z klifu i rozwaliłem sobie kostkę.

Podciągnął nogawkę.

– Niech pan dotknie – powiedział do Anglika. – Pomaca pan kostkę.

Anglik posłusznie dotknął kości pod skarpetą.

– Tu? – zapytał.

– O tu – powiedział żołnierz. – Czuje pan?

– Coś tam jakby sterczy – powiedział Anglik.

– W tym miejscu jest rozerwane – powiedział żołnierz. – Cholerny klif w Velletri po nocy. Ale nikt mi nie wierzy. Wszyscy myślą, że symuluję, żeby się wykręcić. A czy mogę wrócić do służby z taką nogą?

Spojrzał na sierżanta z nieszczęśliwą miną. Sierżant nalał po kieliszku wina.

– Raz widziałem gościa, który miał zmiażdżoną całą stopę – powiedział sierżant. – Spadł mu cholerny karabin.

Do jadalni weszła signora Adele Pulcini. Była wysoką, siwowłosą kobietą po pięćdziesiątce o ostrych rysach i ciemnej karnacji. Ubrana była na czarno, w kąciku ust trzymała papierosa. Po nocach leżała w łóżku przy włączonym świetle, paliła papierosy

i kaszlała. Spojrzała na obu siedzących w pokoju żołnierzy i zwróciła się do Amerykanina: – *Imbecille!*<sup>5</sup> Ile razy panu mówiłam, żeby nie krzyczeć? W zeszłym tygodniu dwa razy przychodzili *carabinieri*...

– Podejdzie tu pani, Mamma – powiedział Amerykanin do signory Pulcini. – Pomaca pani tę kostkę.

– Kostkę? – zapytała wysoka, oschła kobieta. – Jaką kostkę?

– O tu – powiedział Amerykanin.

Signora Pulcini posłusznie dotknęła we wskazanym miejscu.

– No i?

– Rozpieprzona – powiedział żołnierz. – Na klifie w Velletri. Tyle mi przyszło z wyzwalania waszego cholernego miasta.

– *Peccato*<sup>6</sup> – powiedziała kobieta.

– Czy mogę maszerować z taką rozwaloną kostką? – zapytał żołnierz. – Mogę, Mamma?

– Oczywiście, że nie – powiedziała signora Pulcini. Wiedziała, że trzeba przytakiwać żołnierzom, którzy przychodzą się napić do jej jadalni w te wieczory, kiedy w mieście jest ciemno, zimno i samotnie.

– Dzielny z pana żołnierz.

– Wróciłbym do mojego oddziału – powiedział Amerykanin. – Nie to, że nie chciałem. Z nimi przedostałem się z Oranu. Z nimi przeszedłem przez Venafro. Z nimi lądowałem na plaży. Ale lekarze kazali mnie przenieść. Widzieli, że nie dam rady chodzić.

– Oczywiście – powiedziała Adele Pulcini, bo wiedziała, jaki jest wzburzony i że coś go gryzie, wiedziała

<sup>5</sup> Idiota

<sup>6</sup> Przykro mi



zresztą, że żołnierze potrafią być odpychający i niebezpieczni, kiedy ich coś zacznie uwierać. – A teraz niech pan siądzie – powiedziała. – Mimi przyniesie wino.

Podeszła do drzwi i zawołała, ale niezbyt głośno: – Mimi!

Z kuchni odpowiedział jej szybko delikatny dziewczęcy głos: – *Sì, signora?*<sup>7</sup>

– *Fai presto*<sup>8</sup>, odpowiedziała wysoka kobieta w czarnej sukni.

– *Sì, signora* – odpowiedział dziewczęcy głos – *vengo subito*<sup>9</sup>.

Adele Pulcini zwróciła się do swoich dwóch żołnierzy.

– W tym domu – rzekła z uśmiechem – wszyscy jesteśmy bohaterami.

– Zastrani bohaterowie – powiedział angielski sierżant.

Mimi weszła do jadalni z butelką czerwonego wina z pobliskich wzgórz. W słońcu wino błyszczało. Mimi miała szesnaście lat. Lubiła żołnierzy, a signorę Pulcini szanowała i trochę się jej bała. Nie w tym rzecz, że signora nie była miła. Była miła, ale trochę szorstka, a Mimi bała się, kiedy w nocy słyszała, jak signora kaszle w swojej sypialni. Kaszel był przerażający, bo w sypialni paliło się światło, a signora leżała w łóżku w pełnym rynsztunku, w swojej czarnej sukni, paliła i kaszłała. Co signora mogła sobie myśleć, kiedy tak leżała w łóżku przy zapalonych światłach?

<sup>7</sup> Tak, proszę pani

<sup>8</sup> Pospiesz się

<sup>9</sup> Już idę

Kiedy kulejący Amerykanin zobaczył Mimi, położył ręce na sercu jak śpiewak operowy i powiedział: – *Bella mia*<sup>10</sup>.

Mała Mimi zachichotała, a do signory Pulcini powiedziała w swoim języku: – Odbiło mu?

– *Sì* – odparła Adele – trochę mu się pomieszało. Postaw butelkę.

– *Sì, signora* – powiedziała Mimi i postawiła butelkę na stole.

– Co ona powiedziała? – zapytał Amerykanin.

– Pytała, czy pan oszalał – odpowiedziała Adele.

– Wszyscy mamy źle w głowach, moja mała – powiedział utykający Amerykanin. – Zwariowani Amerykanie.

Mimi zaśmiała się do żołnierza.

– To prawda – zwróciła się do Adele.

– Tak – zgodziła się Adele – to święta prawda.

– Chodź, *bella mia* – powiedział Amerykanin do dziewczynki. – Zatańczymy. Amerykanin jest tip-top *ballerino*<sup>11</sup>.

– Mogę, proszę pani? – zapytała Mimi. – Mogę sobie z nim zatańczyć? Jest pijany.

– Kto jest *ubriaco*<sup>12</sup>? – zapytał Amerykanin. – Ja nie jestem *ubriaco*.

– Okej – powiedziała Mimi po angielsku. – Zatańczę.

Tańczyli. Radio grało, wiatr tłukł w drewniane okiennice, Anglik nalał sobie kolejny kieliszek wina, a wysoka kobieta, która miała tyle ciemnych

<sup>10</sup> Dosł. Piękności moja, dziewczyno

<sup>11</sup> Tancerz

<sup>12</sup> Pijany

zmarszczek przy oczach, uśmiechała się słabo, patrząc, jak jej pomoc tańczy z pijanym, niezgrabnym żołnierzem.

Anglik spróbował wina.

– Nazwała nas zakałami tej ziemi. W samej Izbie Gmin. Jaśnie pani się znalazła.

Powinien był się ulotnić na te pieprzone wzgórza razem z partyzantami. Zbliżały się święta. Dobrze, że jego pani jest poza Londynem. Teraz, kiedy skończyły się naloty, z Londynu dochodziły wieści o wielkich wyjących pociskach, a to jest gorsze, pisała, gorsze niż naloty bombowe.

Do jadalni weszła inna dziewczyna, ruda i zgrabna, w butach na wysokich obcasach. Zimą kobiety w mieście zwykle takich nie nosiły, nawet jeśli mogły sobie na nie pozwolić. Oczywiście w Ameryce czy w Paryżu kobiety chodziły na obcasach. Nina też chodziła. Kupił je jej w eleganckim sklepiku amerykański kapitan. Tego wieczoru, kiedy szpilki zostały kupione, była kapitanowi bardzo wdzięczna. Teraz założyła do nich jasną, dopasowaną, jedwabną sukienkę w rzucik, z czerwonym skórzanym paskiem w wąskiej talii. Walizkę, którą niosła, postawiła na podłodze. Jedwabna sukienka obsunęła się, odsłaniając piersi.

– I co, Adele – zapytała Nina. – Przyszła?

– Jeszcze nie – powiedziała signora Pulcini.

– Jestem spakowana – powiedziała Nina. Spojrzała na zegarek. – Czemu jej jeszcze nie ma?

Utykający Amerykanin puścił małą Mimi. – *Bella mia!* – powiedział do rudowłosej dziewczyny z walizką.

Uderzyła go w wyciągniętą rękę.

- *Proibito*<sup>13</sup> – powiedziała.
- Po co ta waliza? – zapytał żołnierz.
- Nina jedzie do Florencji – powiedziała signora Pulcini.
- Do Florencji? – zdziwił się Amerykanin. – A co takiego jest we Florencji?
- Miłość, *caro mio*<sup>14</sup> – odparła Nina. – Miłość, miłość, miłość.
- Niech to diabli – powiedział Amerykanin. – W Rzymie też jest miłość, miłość, miłość.
- Jest zaręczona z Amerykaninem – powiedziała Adele. – *Capitano*. Zabiera ją do Florencji.
- Oficer?
- Przeuroczy oficer – powiedziała Nina.
- Uroczy – powiedział Amerykanin. – Jak, do diabła, można być uroczym i zarazem oficerem?
- Nie jest taki jak ty, *lazzarone*<sup>15</sup> – powiedziała Nina. Była w świetnym humorze. Pogładziła jedwabny materiał na biodrach.
- Jest szarmancki... taki uprzejmy! Jak się uśmiechnie, Matko Boska, co za zęby! A ty pokaż, jakie masz. Żołnierz się wyszczerzył.
- Z takimi zębami lepiej zostań w Rzymie.
- Zabiorę panią do Florencji – powiedział. – Zamieszkamy w *palazzo*<sup>16</sup>. Znam jednego gościa we Florencji, który mieszka w *palazzo*. Wynajmiemy od niego *palazzo*.

<sup>13</sup> Zabronione

<sup>14</sup> Mój drogi

<sup>15</sup> Hultaj

<sup>16</sup> Pałac, kamienica.

– Nie – odparła Nina – mój kapitan szanuje włoskie dziewczyny.

– Ja też – odpowiedział żołnierz. – Ja też szanuję włoskie dziewczyny.

– Sì. *A letto*.

– Co to znaczy *a letto*?

– W łóżku.

– To jest przecież doskonałe miejsce, żeby je szanować, prawda?

– Nie i nie! – zawołała Nina. – Śliczny jesteś, ale nie jak mój miły...

– Jestem równie dobry jak twój miły...

– Niemożliwe!

– Daj mi szansę – powiedział żołnierz. – Prawdziwy skarb. Cudowny jestem, prawda? Niech się Anglia wypowie.

– Przystojny jest – powiedział Anglik.

– Widzisz? – powiedział żołnierz. – Przystojniak ze mnie.

– Wcale nie! – powiedziała Nina wesoło.

– Rozwaliłem sobie kostkę w Velletri, kiedy wyzwalałem Rzym, *bella* – powiedział żołnierz. – Stacjonuję siedem tysięcy mil od Schenectady, a noc jest zimna. Chyba powinnaś być mi wdzięczna?

– Oj, złotko, bardzo mi cię szkoda – powiedziała Nina, klepiąc go po policzku. – Ale z takimi zębami nie przebijesz mojego kapitana.

Zwróciła się do signory Pulcini.

– Niech mnie pani zawoła, jak przyjdzie Lisa.

Pomachała do żołnierza.

– *Ciao*, biedactwo – powiedziała i wyszła z pokoju.

Po jej wyjściu Amerykanin z rozczarowaniem spojrział na sierżanta.

- Oszczędzają się dla oficerów – powiedział.  
Odwrócił się do Adele Pulcini.
- Zna pani może, Mamma, jakąś dziewczynę, która zjadłaby kolację ze smutnym *soldato*?
- Tylko dziewczyny im w głowie – powiedziała wysoka kobieta.
- A o czym niby mam myśleć? – zapytał żołnierz. – Chcę tylko mieć miejsce, gdzie bym ją mógł przyprowadzić.
- Ma pan dziewczynę u siebie w domu – powiedziała Mamma Pulcini.
- Tak, w Schenectady – odparł żołnierz.
- Robi pan zamieszanie – powiedziała kobieta – wy, Amerykanie, zawsze coś namieszacie.
- Nic nie namieszam, Mamma, Bóg mi świadkiem – powiedział żołnierz. – Czemu miałbym sprawiać kłopoty?
- Signora popatrzyła na niego z powątpiewaniem.
- A będziesz dla niej miły?
- Jasne!
- Nie wiem, czy się uda...
- Niech pani spróbuje – powiedział żołnierz. – Mam forszę. Niech pani popatrzy, ile tego jest.  
Wyjął z kieszeni gruby plik lirów.
- Co mam robić z tą cholerną forszą? Odkładać do powrotu do Schenectady? Dajcie mi spokój, Mamma. Załatwi mi pani dziewczynę.
- *Va bene*<sup>17</sup> – powiedziała wysoka kobieta. – Tylko dlatego, że mi pana szkoda.
- Jasne – powiedział żołnierz.
- Tylko żadnych kłopotów!

<sup>17</sup> No dobra, w porządku

– Przysięgam Bogu! – odpowiedział żołnierz.

Teraz był podniecony. Wraz z wysoką, smagłą kobietą w czarnej sukni podszedł do stojącego na biurku telefonu. Niecierpliwie dopytywał: – Jaka ona jest, Mamma? Blondynka? Mówi po angielsku? A jak ma na imię?

– Maria – powiedziała signora.

Wykręciła numer.

– *Pronto*<sup>18</sup> – powiedziała do słuchawki.

– *Chi parla? Maria? Ciao, Maria*<sup>19</sup>. Przez chwilę mówiła do telefonu: – Mówi *signora Pulcini* – przedstawiła się Marii. – *Sì. Come va?*<sup>20</sup>

Ma teraz u siebie Amerykanina, który jest samotny i chciałby się umówić. Tak, na dziś wieczór, potwierdziła. Tak, *un soldato americano*<sup>21</sup>. Tak, podchmielony, ale nie całkiem zalany, nie jest pijany w sztok i obiecał, że nie zrobi żadnej burdy. Spojrzała na żołnierza. Wyglądał na zmieszanego i podnieconego. Zauważyła, jak solidna ilość wina pogrubiała mu rysy. Zauważyła, że włosy ma obcięte bardzo krótko, jak atleta.

Zwróciła się do przysłuchującego się rozmowie żołnierza: – Pyta, dokąd ją pan zabierze.

– Gdzie tylko zechce – powiedział ochoczo żołnierz. – Niech jej pani powie, że do restauracji. Niech pani zapyta, czy lubi spaghetti.

– Woli mięso – powiedziała Adele.

– Niech będzie mięso – powiedział żołnierz. – Co sobie zażyczy.

<sup>18</sup> Słucham

<sup>19</sup> Kto mówi? Maria? Cześć Maria.

<sup>20</sup> Tak. Jak leci?

<sup>21</sup> Żołnierz amerykański

– *Va bene* – powiedziała wysoka kobieta do telefonu. – *Ciao*, Maria.

Odłożyła słuchawkę.

– Wszystko załatwione? – zapytał żołnierz. – Umówiła mnie pani, Mamma?

Takie to młode, pomyślała Adele, i tak im się chce dziewczyny.

– *Si* – powiedziała – dam panu adres. Przy Viale Angelico. Wie pan, gdzie to jest?

– Znajdę – odparł żołnierz.

– Przechodzi pan przez most i idzie wzdłuż Lungotevere – powiedziała Adele.

– Na pewno trafię – powiedział żołnierz.

Zapisała mu adres na odwrocie starej koperty.

Wiatr uderzał w szyby i trząsł drewnianymi okiennicami.

Angielski sierżant dopił wino. W ustach miał kwaśny i ostry posmak. W koszarach powiesił sobie nad łóżkiem portret żony. Patrzył na zdjęcie i mówił: – No dobra, żadne z nas urodą nie grzeszy – a potem myślał o tym, jak dawno nie widział Londynu. Łóżka w koszarach były drewniane, piętrowe, bez materacy. Niżsi rangą żołnierze sypiali w dużej wspólnej sali na pryzkach z desek i drutu. Ponieważ był sierżantem, przysługiwało mu piętrowe łóżko i spał w pokoju, który dzielił tylko z siedmioma innymi sierżantami. Oficer, którego woził, nocował w wielkim hotelu przy Via Veneto. Angielski sierżant wstał.

– Na mnie też już pora – powiedział.

– *Grazie*<sup>22</sup>, Mamma – powiedział Amerykanin.

<sup>22</sup> Dziękuję



W ręce trzymał kopertę z adresem Marii. Bardzo był zadowolony z tego adresu. Nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie dom przy Viale Angelico.

– Wyjdą panowie od ogrodu – powiedziała signora Pulcini, która ucieszyła się, że już idą. – Nie chcę, żeby widziano, jak stąd wychodzicie. Proszę, otworzę furtkę.

Obaj podeszli do drzwi balkonowych w głębi jadalni. Anglik rozgrzewał sobie ręce w ciepłych połach płaszcza. – W Izbie Gmin – wymamrotał. – Wstała, jaśnie pani...

Wyszli w ciemność i chłód.

W pokoju zapadła cisza.